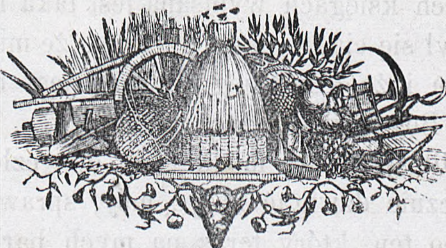
Tom XIII. Nr. 17.



11. grudnia 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Krzyże żywota.

Legenda.

Życie ludzkie jest pełne cierpień i umartwień. Każdy człowiek znosić musi na ziemi niedolę żywota, a niedola ta niezna różnicy między panem a chłopem, między bogaczem a żebrakiem. Wszystkie te dolegliwości i cierpienia nazywamy krzyżem naszego żywota, na pamiątkę, że nasz Odkupiciel święty, Jezus Chrystus, dźwigał w pocie swej skroni krzyż ciężki na górę Golgotę, na której poniósł śmierć męczeńską za zbawienie rodu ludzkiego. Każdy z nas musi dźwigać krzyż w życiu, a od tego, czy go dźwiga w pokorze i cierpliwości, zależy jego żywot wieczny.

Słychać wielu ludzi wyrzekających ciągle, że ich Bóg ciężkim obarczył krzyżem w życiu. Każdy skarży się i płacze na ciężary i cierpienia żywota i myśli, że tylko on je ponosi, a zapomina, że każdy człowiek bez różnicy krzyż swój dźwigać musi. Każdy widzi te tylko cierpienia, których sam doznaje, a niechce wiedzieć, że niema człowieka, dla którego by nie było krzyża na świecie. Ztąd też powstaje między ludźmi zazdrość,

jedni zazdroszczą drugim, a nikt nie da się przekonać, że Bóg na wszystkich zarówno zsyła próby żywota.

W pobożnych księgach wypisana jest taka legenda. Pewien człowiek skarżył się ciągle przed Bogiem, że musi dużo cierpień ponosić w życiu i że krzyż jego żywota jest bardzo ciężki, i prosił, aby mu Bóg ulżył ciężaru niedoli.

— Boże litościwy — modlił się ów człowiek — kiedy już mam koniecznie dźwigać krzyż mój, spraw, abym dźwigał krzyż lekszy, bo ten, który teraz na mych barkach cięży, jest za wielki na moje siły.

I oto stało się, że przed tym człowiekiem ukazało się mnóstwo rozmaitych krzyżów wielkich i małych, ciemnych i złocistych. Były tam krzyże rozmaitego kształtu i miary, proste i zwyczajne, były krzyże kolące cierniami, były i całkiem złote. Między temi krzyżami był i ów, który ten człowiek w życiu dźwigał, a na którego ciężkość się skarzył. Gdy ów człowiek zdziwionem okiem oglądał te krzyże, odezwał się głos z góry:

— Oto masz krzyże rozmaite! Są to krzyże ludzkiego żywota! Wybieraj między niemi i weź sobie ten, który ci będzie najlepszy, a nie wyrzekaj na Opatrzność Bożą!

Człowiek ów począł wybierać. Zobaczył z radością, że było wiele krzyżów mniejszych niż ten, który sam dźwigać musiał. Zaczął je próbować, ale oto jeden z nich mimo że mniejszy, był daleko cięższy, drugi miał ostre rogi i gniótł okropnie, trzeci był cierniem wysadzany i kłuł aż do krwi. Próbował krzyż złoty, ale ten przygniótł go tak swym ciężarem, że upadł pod nim. Próbował jeszcze ten i ów krzyż, który mu się na pozór wydawał mniejszym i lekszym, ale każdy był przykry i bardziej jeszcze przygniatał, niżeli ów krzyż własny, na który się uskarżał. Wtedy zawołał ów człowiek do Boga:

— Panie! Nie mogę znaleść łekszego krzyża dla siebie! Poznałem ślepotę moją i przekonałem się, że krzyż, którym obarczyłeś mnie z początku, jest dla mnie najlepszy; pozwól, niech go już dalej dźwigam, a nie będę się już więcej skarżyć na jego ciężar.

I tak został ów człowiek przy swoim własnym, dawnym krzyżu, to jest przy dawnym swoim losie.

Jakaż nauka z tej legendy? Oto niech nikt z was nie skarży się na swoje cierpienia i nie zazdrości innym doli, bo cierpienia tych ludzi, którym zazdrościcie, są często jeszcze cięższe i boleśniejsze, niż wasze własne. Bóg sprawiedliwy nikogo nazbyt nie obarczył, każdemu wedle sił jego dał krzyż żywota! Dźwigajcie go w pokorze i cierpliwości.

Hulanka mazurska.

Hej chłopacy — hop! wesoło —
Choć nam smutek marszczy czoło,
Gdy z podkówek iskra tryśnie,
To i radość nam zabłyśnie —
Na to mamy tan i śpiew,
By nie stygła w sercu krew!

Dziwnie tańczą dziś panowie,
Aż się człeku mąci w głowie!
Bo to niby jakieś susy,
Ni w tem życia — ni pokusy!
Nie masz jak Mazura dźwięk,
I podkówek naszych brzęk!

Hej Mazury! Bóg nad nami!
Walmyż tęgo podkówkami
Bo rdza jeżli stal przysiędzie
Już z niej ognia niedobędzie —
A nie słyszał jeszcze świat,
Aby zgnuśniał Mazur chwat!

Czy to modnie, czy niemodnie,
Byle serca biły zgodnie,
To nie braknie nam i siły,
Choćby zginąć za kraj miły —
Bo najmilszy jakby raj
Ten nasz wielki, polski kraj!

Muzykancie rżnij od ucha!
Niechaj rośnie nam otucha,
Niech ten żar, co w duszy tleje,
Wszystkie serca dziś rozgrzeje —
Żeby każdy o tem śnił,
Jak Kościuszko wrogów bił!

Opowiadania pana Wincentego
o morzu i co jest w morzu i pod morzem.

II.

Na drugi wieczór, kiedy już wszyscy posilili się wieczerzą, pan Wincenty, jak obiecał, tak też zaczął znowu opowiadać o morzu i tak jął prawić:

— Wiecie już jak się dostałem na morze. Zrazu tom aż skakał z radości, że po morzu pływać będę, ale kiedy

odpłynęliśmy od portu i zniknęła nam z oczu ziemia, to mi i markotno się zrobiło. Wszędzie woda i woda, kędy okiem sięgniesz, nigdzie ani kawałeczka lądu nie ujrzysz; nad tobą sine niebo i słonko, a wszędy w około tylko morze i morze. Toć nasza Wisła także szeroka i duża, ale zawsze obaczysz brzegi, a po brzegach zieloną ziemię i chaty — ale na morzu to już nic, tylko sama woda i ani żywej duszy!.... To i nie dziw, że się człeku jakoś niedobrze i tęskno w sercu robi! A do tego jak mnie jeszcze opadła morska choroba....

— A co to za choroba? — pyta Grześ kuchta.

— Choroba ta — odpowiada Wincenty — pochodzi z innego powietrza, które jest na morzu, a z którem człowiek od razu nie może się ozwyczaić, a znowu i z tego, że przez ciągłe hojdanie się okrętu człowiekowi zawraca się głowa. Kto się pierwszy raz na morze puszcza, ten musi przebyć tę chorobę. Wtedy cierpi na zawrot głowy, na okrutne nudności, a co zje tylko, to zaraz wydać z siebie musi. U niektórych to ta choroba prędko mija, u innych trwa dłużej, według tego jak kto silny i wytrzymały. Ale słuchajcież dalej o morzu. Kiedy się pytałem mego pana, czy prędko się to morze skończy, to mi rzekł, że można Bóg wie jak długo pływać po nim, i całą ziemię niem objechać od końca do końca, bo z jednego morza możnaby wpłynąć do drugiego i tak dalej. Bo musicie wiedzieć, że ziemia, na której ludzie mieszkają, a która jak już wiecie wygląda jak okrągła kula, oblaną jest morzem ze wszystkich stron, i że morza tego jest daleko więcej jak stałego lądu.

— Proszę was panie Wincenty — odezwał się naraz Łukasz kredensarz — mówiliście że z jednego morza można przepłynąć w drugie, to tak wypada, jakby na świecie było kilka mórz, a ja myślałem zawsze, że tylko jedno.

— A toście źle myśleli — odpowiedział Wincenty — bo mórz jest wiele. Samych najgłówniejszych mórz jest pięć, które się tak nazywają: Wielki ocean, morze atlantyckie, indyjskie, morze lodowate północne i południowe. Oba te morza lodowate znajdują się na obu czubkach kuli ziemskiej. Wszystkie zaś te główne morza czyli oceany, dzielą się wedle nazw ludzkich na

rozmaite inne mniejsze, których wam już tak na pamięć wyliczyć nie potrafię.

— A które z tych mórz jest największe? — pyta Grześ kuchta.

— Największy jest Wielki ocean, ma on trzy miliony i trzysta tysięcy mil wszerz i wzdłuż!

— Mocny Boże, to już takiej ogromnej sumy i nasz rozum nie ogarnie! — zawołał Łukasz kredensarz.

— A przecież to dokumentnie wyrachowali uczeni ludzie za pomocą przeróżnych rachunków — odpowiada Walenty — bo rozum ludzki przy pomocy Bożej wielkich rzeczy dokazać może, jak to sami już nie raz mogliście się przekonać.

— A czemże się tam pływa po tem morzu, czy czółnem czy galarem? — pyta Jędrek fornal.

— A pięknież byś ty wyszedł — rzecze pan Wincenty, gdybyś się puścił na morze galarem. Po morzu pływa się wielkiemi okrętami, okręta te są nieraz takie ogromne, że kilkaset ludzi w sobie pomieszczą. W takim dużym okręcie sę rozmaite pokoje, jeden dla kapitana, t. j. dla tego, co rządzi całym okrętem, drugi dla podróżnych, co w zamorskie krainy płyną, trzeci dla służby okrętowej, co to są niejako flisami morskimi i zwą się majtkami, dalej zaś jest jeszcze i magazyn na jadło i kuchnia i inne komórki rozmaite. Dziś już są rozmaite okręta, a niektóre z nich takie duże i takie wygodne, gdyby domy. Dawno, bardzo dawno, na kilkaset lat przed narodzeniem Chrystusa, to ludzie nie umieli jeszcze budować dobrych okrętów, a z razu to nawet pływali tylko po pod brzeg w wydrążonych drzewach, jakby w korytach, a na otwarte morze puszczać się bali — ale potem coraz szykowniej poczęto budować okręta i pływać po całem morzu, a powoli, powoli jeszcze bardziej wydoskonaliła się sztuka przepływania morza, czyli żeglarstwo, a po dziś dzień ludzie już cudów prawdziwych dokazują. Z razu to były jeszcze tylko okręta żaglowe, to jest takie, że na górze okrętów przy masztach były ogromne płótna, a wiatr zapierając się o te płótna czyli żagle, pędził okręt, aby zaś okręta kierować w tę stronę dokąd płynąć było potrzeba, to był na to sternik osobny, który robił sterem i nim kierował okręt na rozmaite

strony. Teraz zaś to budują już takie okręta, które tak jak koleje żelazne popędza para...

— Oho już wiem — zawołał na to Stach parobek, który służył był w wojsku — takie okręta to się zwą *damszyfy!*

— Owa! jakiś ty mi mądry — odpowiedział na to pan Wincenty — patrzcie no go, *damszyfy!* A wiesz ty co trutniu, że to nie jest żadna polska nazwa, jeno tak z cygańska po niemiecku. Kiedyś Polak, toś powinien wiedzieć, że takie okręta nazywają się po naszemu nie jakoś tam *damszyfy* ale parowce.

Wszyscy zaczęli się śmiać z Stacha, a Stach zawstydził się mocno i skrobiąc się w głowę milczał. Tymczasem pan Wincenty począł tak dalej opowiadać.

— Są teraz także rozmaite okręta, np. kupieckie i wojenne. Wojenne parowce mają z sobą żołnierzy i huk armat...

— A poco panie Wincenty te armaty? — zapytał Łukasz kredensarz.

— No bo musicie wiedzieć — prawi pan Wincenty — że z dawien dawna ludzie nie tylko na lądzie ale i na morzu wojują. Otóż i teraz są takie okręta, co tylko do bitwy morskiej służą. Oj strasznaż to rzecz ta bitwa morska! Bo to jak z obu stron zjadą się nieprzyjacielskie okręta, jak zaczną do siebie strzelać z armat, to aż morze kipi! Bitwa morska, to straszniejsza jeszcze niż na lądzie. Nie jeden okręt tak podziurawią kulami, że zatonie het z ludźmi i ładunkiem całym. Który okręt już się bronić nie może, to go ścigają, a żołnierze nieprzyjacielscy na łodziach podpływają do niego, włażą do środka okrętu i tu znowu rozpoczyna się bójka, aż dopóki załoga okrętu się nie podda. Niektóre okręta wojenne są takiemi grubemi blachami obite, że ich kula prześwidrować nie może i takie okręta nazywają się pancerniki. Ale ja wam tu o bitwach morskich nie będę rozpowiadać, jeno o samem morzu.

— Za przeproszeniem pana Wincentego — odzywa się na to ornal Jędrek — mówiliście nie dawno, że morze jest takie okrutnie duże, powiedzcież mi, jak sobie też ludzie na nim radzą, aby nie zabłądzili?...

— Zrazu nie było na to dobrej rady — prawi pan Wincenty — a żeglarze nie puszczali się w dalekie morze, aby się nie zabłąkać, bo to jak wypłyniesz na szerokie morze, a wszędzie jeno woda i woda, to trudno ci zgadnąć, kędy tu płynąć. Ale zawsze kierowali się żeglarze we dnie wedle słońca, a w nocy wedle gwiazd rozmaitych i tym sposobem radzili sobie jak mogli. Nie wystarczało to jednak nigdy i nieraz okręt, zabłąkawszy się, już nie powrócił ale przepadł gdzieś na wieki. Ludziej wynaleźli jednak potem dobry na to sposób, to jest taką maszynkę, co się zwie kompas albo igła magnetyczna.

— A cóż to takiego? — zapytali wszyscy od razu.

— Kompas jest to igła z magnesu, który z was każdy widzieć już musiał. Tym magnesem nieraz żelazne krzesiwa są pociągane, a wtedy to mają tę siłę, że przyciągają do siebie żelazo. Otóż z tego magnesu robi się igła, która w środku obraca się na maleńkiej osi. Otóż igła ta zawsze a zawsze obraca się ku północy, a tym sposobem żeglarze dowiadują się wedle niej na morzu, w której stronie jest północ, a gdy już wiedzą gdzie północ, to łatwo mogą już poznać gdzie wschód, zachód i południe i według tego kierują okręta. Do tego mają jeszcze żeglarze rozmaite mapy, to jest takie obrazki z przeróżnemi znaczkami, według których mogą dobrze poznać okolice morskie. Dziś już sztuka żeglarska została tak wydoskonaloną, że każdy żeglarz zna morza wszystkie jak gospodarz swoje zagony i nie zbłądzi w żaden sposób. Są też osobne szkoły, gdzie się uczą długo żeglarze, zanim się wszystkiego tego wyuczą, czego potrzeba, aby umieć sobie dać radę na morzu, co jest rzeczą bardzo trudną. Oprócz kompasu jest jeszcze inny sposób, aby okręt nie zbłąkał się i nie zatonął. I tak są latarnie morskie.

— Oho! a to co znów za latarnie morskie? — zapytał się ciekawie Marcin lokaj.

— Latarnie, czyli strażnice morskie są to takie wysokie wieże, które budują się na brzegach morskich i na wyspach. Na samych wierzchołkach tych wież rozpalają się okrutne ognie, które hen daleko rozlewają światło i z dalekiego morza

mogą być widziane przez ludzi na okrętach. Do takiej latarni morskiej ustanowiona jest osobna służba, która musi pilnować, aby w nocy światło to paliło się zawsze. Takie latarnie morskie budują w takich miejscach brzegu, gdzie morze jest niespokojne i burzliwe, albo gdzie wiele jest skał wśród morza, bo o te skały łatwo się może rozbić okręt. Osobliwie wtedy, kiedy burze morskie panują, to te latarnie są jasno oświetlone, aby żeglarze wiedzieli, jak się ratować na ląd.

— Oj te burze morskie to muszą być bardzo straszne? — mówi Teresa klucznica.

— A juści że bardzo straszne i dla tego też te narody, które mieszkają nad morzem, mają takie przysłowie: Kto się modlić nie umie, niech popłynie na morze, bo tam się każdy wśród strachu wielkiego modlić nauczy, choćby był grzesznikiem najzatwardzialszym. Kiedy ma być wielka burza na morzu, to żeglarze już ją naprzód po powietrzu przewidzą. Przed burzą zawsze morze jest tak cichutkie, że się ani ruszy i nieraz aż okręta dalej płynąć nie mogą, żaden wietrzyk nie powiewa, tylko hen dalego na końcu nieba pokaże się maleńka biaława chmurka i coraz bliżej idzie, coraz się powiększa, aż nareszcie zrywa się okrutny wicher i morze strasznie burzyć się zaczyna. Wtedy to wichry rzucają okrętem, że aż cały trzeszczy, a morze huczy okrutnie i kipi. Woda morska kłębi się strasznie i rzuca się w górę okrutnemi bałwanami wody, a taki bałwan morski większy jest czasem niż największa kamienica w mieście i nieraz cały okręt przykrywa. Wtedy okrętem jak łupiną orzechu rzuca morze na wszystkie strony, bałwan morski podniesie go okrutnie wysoko, a okręt potem spada znowu na dół, a tymczasem drugi bałwan morski zalewa go z góry! A przy tem wiatr ryczy i wyje, pioruny okrutnie biją i morze huczy strasznie! Wtedy to biedny człowiek ucieka się do pana Boga, i modli się gorąco, bo jeden tylko Bóg Wszechmocny panuje nad ziemią i nad morzem!...

— Jezus! Marya! Jakież to okropne rzeczy! — zawołała Teresa klucznica a wszystkim aż włosy na głowie kołkiem stanęły na to opowiadanie.

— Aha! już was samo opowiadanie straszy — prawi dalej pan Wincenty — choć sobie za ciepłym piecem siedzicie! Cóżbyście wy robili, gdybyście tak wśród takiej burzy byli na morzu! Ale to jeszcze nie wszystko. Oprócz burzy są jeszcze inne srogie niebezpieczeństwa na morzu. I tak najpierw musicie wiedzieć, że na morzu znajdują się okrutne twarde skały. Jak okręt przez nieuwagę ludzi uderzy o tę skałę, to się nieraz rozbije na trzaski. Jeżeli pogoda, to takie skały ominąć można szczęśliwie przy ostrożności, ale jak w pobliżu takich skał zaskoczy noc czarna i powstanie burza, to już tylko opatrzność Boża pomódz może! Najczęściej rzuca morze okręta o te skały i wtedy następuje rozbicie okrętu. Cały okręt się gruchocze i rozlatuje na trzaski. Ludzie biedni albo toną, albo jeżeli brzeg blisko, to się jeden i drugi, skoro dobrze pływać umie, wyratuje szczęśliwie. Najzdradliwsze są takie skały, które nie wystają po nad morze, jeno woda ich z góry pokrywa, tak że ich widzieć nie można, wtenczas to okręt ani się spodzieje czego złego, płynie — płynie — aż nareszcie trzask! o skałę i już po nim!... Ale to jeszcze nie wszystko!

— Jeszcze nie wszystko! — zawołał Marcin lokaj i aż się za głowę schwycił.

— Oj nie wszystko — mówi dalej pan Wincenty — są na morzu jeszcze wiry okrutnie niebezpieczne. Każdy z was wie, że i w naszych rzekach są tonie głębokie, w których woda się ciągle kręci a co schwyci to na dół ściągnie. Takie też są i wiry morskie, jeno że wiry rzeczne to zabawka naprzeciw wirom morskim! Taki wir morski to kipi na całą milę w około, a jak się okręt na milę do niego zbliży, to go chwyta i zatapia. To też żeglarze z wielką ostrożnością omijają na kilka mil w około te wiry, aby ich na dno morskie nie wciągnęły. Dużoby tam jeszcze mówić o tych różnych niebezpieczeństwach morskich, ale na toby i czasu i pamięci nie stało. Wspomnę wam jeszcze tylko o trąbach morskich.

— Oho, a to co za cudo, ta trąba morska! — zawołał Jędrek fornal.

— Trąba morska powstaje wtedy, jeżeli w górze dwa wiatry wieją przeciw sobie lub ponad sobą. Wiatry te mieszają się

z parą wody morskiej i ztąd robi się w powietrzu gruba, chmurna mgła, która tak wygląda jak lejek. Ta ciemna mgła wyglądająca jak lejek spiczasty, spuszcza się swym cienkim końcem ku morzu, woda morska podnosi się ku niej także jak spiczasta kupa — oba te spiczaste końce łączą się razem i całe to cudo huczy i szumi strasznie i leci po morzu, a gdy natrafi na okręt, to go nieraz połamie i pogruchocze. Takie to cuda dzieją się na morzu.

— Proszęż was panie Wincenty — odzywa się Grześ kuchta — kiedy morze takie strasznie duże, a ludzie na okrętach pływają po niem, jak mówicie, po kilka miesięcy — czemże ci ludzie się tam żywią na morzu?

— Kto o czem, a kuchcik o jedzeniu! — mówi ze śmiechem pan Wincenty. — Żeglarze udając się w podróż morską, zabierają ze sobą żywność, mniej lub więcej według tego, jak długo mają być na morzu. Oczywiście przysmaków na okręcie nie dostaniesz, tylko już musisz to jeść, co jest. Żeglarze ładują na swój okręt mięso suszone, solone i wędzone, kaszę, mąkę i inne rzeczy, a zamiast świeżego chleba, żywią się sucharami t. j. zasuszonemi plackami.

— A czemże zapijają? — pyta się Marcin lokaj.

— Owa! to mi pytanie! — zawoła Jędrek fornal — toć na morzu im wody nie zabraknie.

— Oj źleś trafił — rzecze na to pan Wincenty — właśnie że na morzu brak wody wielki. Żeglarze zabierają z sobą wodę w beczkach, które we środku są opalone na węgiel, bo tym sposobem woda się nie psuje i długo ją pić można.

— A to na co? — pyta zdziwiony Jędrek — toć wody w morzu huk!

— Ba kiedy wody morskiej pić nie można — mówi pan Wincenty — a gdybyś jej dobrze łyknął, toby ci się już raz na zawsze pić odechciało. Woda morska, moi kochani, nie jest czysta, i ma smak słony i strasznie gorzki przy tem. Kto się tej wody napije, musi ją zaraz wydać z siebie, a nieraz to i odchoruje. Woda morska prędko gnije, a gdy na morzu świeci słońce i jest cisza, to woda morska wydaje nawet smród z siebie.

— A to dziwna jakaś woda! — mówi Grześ Kuchta.

— Oczywiście że dziwna. Woda morska nie wygląda nawet tak jak nasza, ale rozmaicie; albo jest niebieskawa, albo zieona, albo też trochę z ciemna. Dla tego też są morza, które się nazywają białe, czarne, czerwone. O tem czerwonem morzu słyszeliście już, że przez nie Mojżesz żydów wyprowadził z niewoli egipskiej przed narodzeniem Zbawiciela. Kolor morskiej wody pochodzi czasem od dna morskiego, i tak: jak to dno jest czarniawe, to i woda wygląda czarniawo. Z tem wszystkiem woda morska jest gdzieniegdzie tak przezroczysta, że można aż dno przez nią zobaczyć. Ale co najdziwniejsza, to to, że morze nieraz świeci się miejscami złocisto albo takiem światłem ognistem błyszczy, jakby się paliło. Nieraz to się ludziom na okręcie tak zdaje, jakby po samych płomieniach ognistych płynęli.

— A to znów co się znaczy? — zawołał Marcin lokaj.

— Z początku nie wiedziano, z jakiej to się dzieje przyczyny, ale gdy uczeni ludzie zaczęli dochodzić, to i doszli, że w wodzie morskiej znajduje się mnóstwo maluteńkich robaczków, co ich nawet z osobna widzieć nie można, i że te robaczki tak się ogniście błyszczą i wodę jakby łuną płomienistą farbują. Widział z was pewno każdy, jak w lecie nocą przebiegają malutkie światełka po powietrzu, a każdy z was wie, że to są małe muszki świecące, co się zwą świętojańskiemi robaczkami. Otóż i te malutkie zwierzątka, co tak wodę morską ognisto farbują, są do nich podobne, a że ich niezliczona ilość jest gdzieniegdzie w morzu, to też nieraz morze tak się świeci, jakby się paliło.

— Proszę was panie Wincenty — pyta się klucznica Teresa — czy głębokie to morze?

— A jużci że morze jest okrutnie głębokie. Niektóre morza mają miejscami na cztery tysiące sążni głębokości, inne są płytkie i już tylko na tysiąc, a czasem jeszcze mniej sążni są głębokie. Na brzegach morze jest bardzo płytkie, tak że w niem chodzić i kąpać się można. Dla tego też zjeżdża mnóstwo chorych na brzegi morskie, i kąpią się, bo morskie kąpiele na niektóre choroby bardzo są pomocne.

— A jak to ludzie zmierzyli głębokości morza? — pyta Łukasz kredensarz.

— To już nie tak trudno — odpowiedział pan Wincenty — na to jest ogromnie długi sznur z kawałkiem ołowiu na końcu, i ten sznur spuszcza się do morza. Ołów dla swej ciężkości idzie aż na samo dno, i tym sposobem z długości sznura, który się zmaczał w wodzie, można wymiarkować głębokość morza.

Pan Wincenty odetchnął trochę, popił piwa, które przy nim stało w dzbanie, a potem ciągnął dalej:

— A teraz na zakończenie dzisiejszego opowiadania, opowiem wam jeszcze po krótce o przypływie i odpływie morza. Morze na brzegach zawsze przypływa i odpływa, tak że ziemia, co jest przy brzegu, przez kilka godzin jest pokryta morzem, a przez kilka godzin znowu sucha. Ten przypływ i odpływ morza dzieje się dwa razy co doby. Morze wznosi się i wylewa przez 6 godzin i przez ten czas pokrywa wodą brzeg daleko i szeroko, a potem znowu przez 6 następujących godzin ustępuje i opada, a brzeg znowu jest suchy przez dalszych sześć godzin — i tak się ciągle powtarza przypływ i odpływ morza. Długo ludzie nie wiedzieli zkąd się to bierze, aż dopiero uczeni mędrcy doszli przyczyny. Oto widzicie miesiąc, co świeci nad ziemią, ma taką siłę, że przyciąga do siebie morze, coś na kształt tego, jak magnes żelazo. Ale nietylko miesiąc ma tę siłę, bo i ziemia cała przyciąga także wszystko do siebie. Otóż więc księżyc przyciąga z swej wysokości morze do siebie i morze się wznosi i nadyma do góry, i gdyby tak nic nie stawiło przeszkody, toby morza wzdęły się i poszły het w górę. Ale że ziemia ma także siłę przyciągającą, więc co księżyc podniesie swą siłą morze w górę, to ziemia znowu swą siłą ciągnie je na dół, i ztąd to pochodzi przypływ i odpływ morza.

Aby wam to lepiej i jaśniej wytłumaczyć, potrzebaby aby i ja był uczony i wy też siła rzeczy już umieli — zawsze jednak już z tego com wam tu powiedział, poznać możecie, jak to Stwórca Wszechmocny ten świat cudownie urządził, i jak wszystko, co tylko widzimy głosi chwałę Jego. Pięknie to mówi pieśń nabożna:

Tobie ziemia tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon Boże Wielki!

— A teraz moi kochani — kończył pan Wincenty — czas już rozejść się na spoczynek, bo godzina już pożna, a każdego z nas czeka jutro robota. Na drugi wieczór opowiem wam o zwierzętach i roślinach morskich, a teraz życzę wam dobrej nocy!

— Dobranoc! — zawołali wszyscy — dziękujemy za piękne opowiadanie.

I niebawem była izba czeladnia próżna, i światło w niej zgasło.

Rady gospodarskie i lekarskie.

Pijawki.

Te robaki pożyteczne i potrzebne na różne choroby ludzi, znajdują się w jeziorach i stawach Polski, Rosyi, Węgier, a nawet i na Wschodzie. Pijawka składa się ze stu pierścieni, przez co nabiera zwinności i giętkości. Zyje tylko samą krwią i dla tego ma pyszczek urządzony do ssania, a na drugim końcu narzędzią do trzymania się. W pyszczku ma trzy zęby, niemi tnie ranę, a obok ma sto bardzo drobnych piłeczek, niemi ssie krew, która przez całą pijawkę przechodzi, a z obudwóch stron ma jeszcze jakoby mieszki. Aby tę całą przestrzeń wypełnić, potrzeba wiele krwi, i ztąd to pijawka tak łakoma i chłapliwa. Co do ócz to ma ich aż dziesięć, dla tego też pijawki widzą bardzo daleko; skoro kto w staw wnijdzie, zaraz go zobaczą i zewsząd obsiędą, aby się jego krwią uraczyć.

Ludzie korzystają z tego niepohamowanego łakomstwa pijawek i używają ich na różne zapalenia, ból zębów i inne różne choroby; dla tego potrzeba ich ciągle się wzmaga.

Obliczono, że Francya sama wprowadziła przez lat 17 aż 500 milionów pijawek; — teraz sprowadza je z Sardynii, Włoch i z Hiszpanii za trzy miliony franków czyli za blisko milion reńskich. Miasto Paryż we Francyi potrzebuje samo od 20 lat corocznie 6 milionów pijawek.

W Peszcie, mieście węgierskiem potrzebowano w roku 1853 aż sto tysięcy pijawek a te kosztowały 800 guldenów.

W Anglii i Ameryce są pijawki tak drogie, że je tylko bogatsi mieć mogą. A w Turcyi to rząd sprzedaje prawo ich łowienia. Ze Smyrny wywożą rocznie 25 milionów sztuk przez Austryą i Francyą, a z Grecyi 6 milionów pijawek.

Wielka więc potrzeba pijawek okazuje się wszędzie, i drogo za nie płacą, aby je tylko dostać w razie choroby, która to potrzeba wielka wywołała hodowanie pijawek. Wielu bowiem zaczęło nad tem przemyśliwać, jakby to można hodować, i rozmnażać pijawki. We Francyi już hoduje je pewien lekarz który w 4 latach sprzedał pijawek 200 tysięcy za 13 tysięcy reńskich, miał więc z nich dochodu rocznie cztery tysiące.

Pijawki nie byłyby tak drogie, gdyby przez różne swe choroby nie niszczały, gdyż bardzo wielu chorobom podlegają, i tysiącami naraz giną. Aby temu złemu zaradzić, nie jeden sobie dosyć nasuszył głowy, ale jeszcze dzisiaj nie znaleziono żadnego skutecznego środka przeciw chorobom pijawek.

O obchodzeniu się ze zwierzętami przy rzezi.

Nie raz na nieszczęście jesteśmy świadkami złego obchodzenia się ze zwierzętami na rzeź przeznaczonemi. Już to z pobudek ludzkości musimy potępiać wszelkiego rodzaju okrucieństwa, a również możemy się powołać i na pobudki własnego pożytku, aby położyć tamy podobnemu postępowaniu.

Nie można nigdy dosyć potępić wystawienia tucznych zwierząt na upał słoneczny, ukąszenie much, bąków itp., zmuszania ich do pospieszniejszego biegu przez bicie lub szczwanie psami, wiązania cieląt, baranów i wieprzów. Przez obchodzenie się w ten sposób ze zwierzętami opasowemi i tucznemi, przyzwyczajonemi do spoczynku i staranności, wystawia się je na niebezpieczne choroby, jako to: zaduszenie się, gangrenę itp., nadające mięsu szkodliwe własności, które wywierają zły wpływ na zdrowie spożywających je ludzi.

Dla zdrowia więc nader jest ważnem, aby pędzenie tego rodzaju zwierząt, powierzone było rozsądnym, uczciwym i łagodnym ludziom. Mięso zwierzęcia zarzniętego, kiedy jest zdrowe

i wypoczęte, łatwo wysycha, staje się nabitem i ważnem, dobrze się zachowuje i dobrze daje się ciąć, a rozcięte, ma piękne wejrzenie. Przeciwnie mięso zwierzęcia znużonego przez pędzenie, w jakikolwiek sposób rozdrażnionego lub nie wypoczętego po zadanych mu cierpieniach, trudno wysycha, pozostaje miękkiem i lekkiem, prędko się psuje, pleśnieje i wzbudza z pozoru obrzydzenie.

Trzeba nadzwyczaj starannie obchodzić się ze zwierzętami przeznaczonemi na rzeź, bo mięso z bydła rogatego, baranów i wieprzy, w skutek złego obchodzenia się z temi zwierzętami traci znacznie, tak pod względem jakości, jak i ilości. W czasie letnich upałów, rzeźnice i jatki powinny być nadzorowane nader troskliwie, w celu usunięcia owadów, bo wiadomo, że jedna mucha w krótkim czasie potrafi złożyć mnóstwo jajek, będących przyczyną szybkiego psucia się mięsa.

Na wsiach zdarzają się często nadużycia, szkodliwe dla zdrowia; mają tam zwyczaj dobijania i rozprzedawania mięsa z bydła dotkniętego paraliżem, które zachorowało przy cieleniu się lub na inną nie wyleczoną chorobę, dlaczego często słyszeć się daje o wypadkach choroby lub śmierci u ludzi, którzy jedli to szkodliwe mięso. Powinniście pilnie na to uważać przy rzezi bydła i przy kupowaniu mięsa.

RÓŻNOŚCI.

Przygoda Psity pijaczyny. Nigdzie nie zbywa na psotnikach i figlarzach, ale już po miastach to ich najwięcej. Czy się to godzi, czy się któremu z nich przy tem po grzbiecie dobrze oberwie, na to oni nie zważają, i wcale się niespostrzeżesz, jak ci jaką psotę spłatają. Tak się też stało nieboszczykowi Psicie, a jak to było, zaraz opowiem:

Blisko Trzemeszna leży wieś Święte. Powiadają, że w tej wsi byli kiedyś wszyscy ludzie bardzo pobożni i ztąd wieś ich świętą albo Święte nazwana. Musiały się jednak bardzo czasy zmienić, bo za mojej pamięci mieszkali w Świętem prawda i ludzie dobrzy, ale też i na złych nie zbywało. W tejże wsi mieszkał też lat temu nie mało niejaki Psita wielki pijaczyna, który kiedyś miał być gospodarzem niezgorszym, ale później bardzo podupadł. Psita często bywał w mieście a nie chodził zwykle pieszo,

tylko jeździł na siwej szkapinie, którą był po ojcu odziedziczył.

Razu pewnego Psita dobrze pijany wraca z miasta do domu i wyśpiewuje i wykrzykuje a raz poraz machnie szkapinę powrozem, że aż po żebrach zahuknie, ale już ona do tego się przyzwyczaiła i na to wcale nie zważając, powoli dalej stąpała, (zwyczajnie miała lepszy rozum od swego pana, wolała iść wolno a pewno). Jedzie tedy i jedzie przez góry i doliny, już mu się i krzyczeć naprzykrzyło, więc oburącz za grzywę pochwyciwszy, zaczął się Psita kiwać na szkapie.

Aż tu na raz: „stój“ ktoś zakrzyknie, wszczyna się wrzawa i nim jeździec spostrzegł, już leży na ziemi i łupu cupu, łupu cupu cupu po nim, jak gdy w stodole młócą do trójki. Mój Psita w krzyk, ale mu to nic nie pomogło; więc gdy już skoro plag odebrał, w prośbę się udaje. Rzeczywiście udało mu się wyprosić sobie życie, a ci jacyś rozbójnicy wsadzili go jeszcze na szkapę, ale twarzą do ogona szkapy i dobrze go przywiązali, żeby nie spadł. Nawiasem mówiąc, byli to chłopaki psotniki, którzy go tak niemiłosiernie przywitali. Więc moja siwa znowu w dalszą podróż ruszyła, jeździec wnet też ze strachu ochłonął i znowu drzymać sobie zaczął, bo jak człowieka pijanego zmora napadnie, to go się niczem nie dotrzeźwisz.

Stanęła nareszcie szkapina przed chatą i zarżała miłosiernie a na głos jej żona Psity wybiega i pocznie nad nim wymyślać, co tylko może. Dopiero na przerażający głos swej połowicy Psita przetarł oczy na dobre i patrzy — patrzy i mówi:

— O szelmy zbójniki, nie tylko mnie wybili, ale jeszcze mej siwej łeb ucięli!

Nieboraczysko po pijanemu nie poznał że siedzi twarzą do ogona, ale myślał, że owi chłopacy ucięli szkapie głowę.

Na drugi dzień był z tego śmiech okrutny w całej gromadzie, a Psita od wstydu przez kilka dni z chaty na świat nie wyglądnął.

Nowe książeczki. Donoszę wam, kochani ludzie, że w Warszawie jak każdego roku, tak i tego wydrukowano dla was, ludu wiejskiego, prześliczny kalendarzyk, w którym jest mnóstwo historyj, gadek, opowiadek, piosneczek i różnych różności, a do wszystkiego domalowali malarze bardzo dużo obrazków pięknych a osobliwie jeden złocisty i duży Cudownej Matki Bożej. — Wyszła także znowu aż w Poznaniu książeczka o zakładaniu szkółek owocowych, którą radzimy sobie kupić wszystkim tym, co już mają albo dopiero zakładają sady. Nie jeden to mówi „Poco ja mam szczepić młode drzewka, kiedy ja już z nich owocu jeść nie będę?“ Na to ja mu odpowiem: „A czy wiedziałbyś ty, jaki ma smak gruszka albo śliwka, gdyby tak twoi ojcowie byli mówili jak ty? Boć przecie jasna rzecz, że sad sam odrazu nie wyrośnie z owocami, jeno trzeba go się dochować!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.